

A portrait of actress Joanna Szczepkowska with curly brown hair, smiling, wearing a dark top and patterned sleeves. The background is dark.

Największa wartość to człowiek

Gdyby Joanna Szczepkowska nie dostała się do szkoły teatralnej, zdawałaby na psychologię. Chciała zajmować się trudną młodzieżą. Tak, jak jej mama.

TEKST EWA BAGŁAJ

a

Anka z musicalu „Metro”, jedna z najbardziej znanych śpiewających aktorek, mówi, że najważniejszą osobą jej dzieciństwa była siostra. I Marek Grechuta. – Dokładnie w tej kolejności – wspomina Katarzyna Groniec. – Gdyby nie moja siostra, to nie wiedziałabym, że istnieje Marek Grechuta. Młodsza o siedem lat, we wspólnym pokoju, byłam skazana na nią i jej gust. Kiedy wychodziła do przyjaciół, podobnie jak ona muzykujących, musiała zabierać mnie ze sobą. Byłam jej kulą u nogi, bo wiecznie musiała się mną zajmować. A ja, wpatrzona w tę moją najmłodszą i najpiękniejszą siostrę, przejmowałam, w naturalny sposób, jej upodobania.

Pamięta, kiedy pierwszy raz zobaczyła Grechutę w telewizji. Śpiewał „Niepewność”. Taki cherubinek z jasnymi, kręconymi włosami. Miała wtedy kilka lat. – Zakochałam się w nim i tak trwałam w tej miłości

– uśmiecha się Katarzyna Groniec, która nagrała właśnie swój czwarty solowy album „Przypadki” (w kwietniu pojawi się na rynku). Kiedy Marek Grechuta wreszcie przyjechał na koncert do jej rodzinnych Gliwic, miała 13, może 14 lat. Stała gdzieś daleko na balkonie, bo nie było jej stać na droższy bilet. Śpiewał, patrząc tylko na nią, i to ją krępowowało. Żyła potem długo pod wrażeniem tego doniosłego faktu, aż pewnego dnia sama znalazła się na miejscu artysty. Przeżyła rozczarowanie. Okazało się, że kiedy stoi się na scenie, nic nie widać, a refleksytorzy świecą prosto w oczy.

Zanim zastąpiła rolę Anki w „Metrze”, występowała na festiwalach, które organizowała z innymi dziećmi na swoim podwórku. Ponieważ w okolicy było mało dziewczynek, Kasia musiała bawić się z chłopcami. Próbowano im udowodnić, że teatryk i śpiewanie piosenek to bardzo przyjemne sprawy.

Zorganizowali własny festiwal. – Zabieraliśmy się za to całkiem poważnie. Przy trzepaku rozwieszaliśmy koc, który był kurtyną. Nawet kolega zupełnie pozbawiony słuchu muzycznego coś śpiewał. Robiliśmy bilety, które sprzedawaliśmy po pięć złotych, i zyski z tego przedsięwzięcia szły do wspólnej kasy. Mieliliśmy na następny rok na bibułki, którymi przystrajaliśmy podwórko, żeby sąsiadom było miło siedzieć na festiwalu – śmieje się późniejsza laureatka Grand Prix i nagrody dziennikarzy na Festiwalu Piosenki



1. Kasia ma pierwsze urodziny i jeszcze nie myśli o śpiewaniu
2. 18-latką już wie, co chce robić. Właśnie trafiła do zespołu „Metro”

Aktorskiej we Wrocławiu. – Każdy z widzów musiał przynieść ze sobą krzesło. I, o dziwo, zbierało się sporo ludzi. Mieliliśmy niezłe zyski.

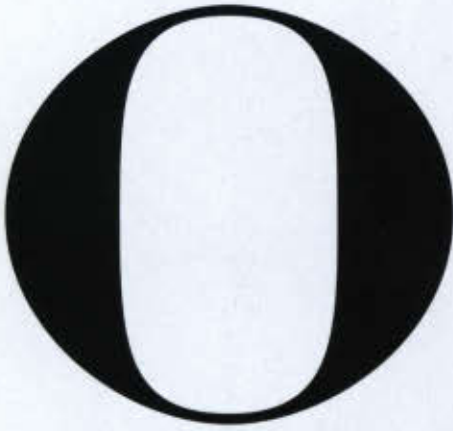
Szkoda, że talent organizatorski z czasem zupełnie mnie opuścił.

Za to nigdy nie straciła wiary w siebie i w to, że kiedyś będzie śpiewała profesjonalnie. Nie mogłaby robić nic innego, odkąd odkryła, jaką to sprawia jej ogromną przyjemność i jak czuje się bezpieczna, kiedy śpiewa. – Na szczęście ciągle obracałam się w środowisku ludzi, którzy bardzo kochali muzykę i którzy chcieli się jej uczyć. I co również ważne, spotykało się to ze zrozumieniem

inny pomysł na życie swojej córki.

Jak daleko sięga pamięcią, widzi typową w ich domu scenkę: właśnie ktoś z domowników czy gości nierozsądnie zaproponował małej Kasi zaśpiewanie jakiejś piosenki, żeby umilić czas. – No to miał przerąbane, bo ja nie mogłam przestać – wspomina. – Więc potem zawsze było: „Już, już dobrze, już wiemy, że umiesz”. Na to ja w kółko: „A mogę jeszcze raz to? A tamto?”. Prosząc więc o zaśpiewanie jednej piosenki, trzeba było być, niestety, przygotowanym na najgorsze. A po wysłuchaniu całego repertuaru, który był niemały, nawet moi rodzice wyglądali na trochę zmęczonych. Ale nigdy nie usłyszałam od nich ani jednego złego słowa. Żadnego: „Ale wyjesz, przestań już”, czy coś w tym rodzaju. Pełna akceptacja.

Oboje rodzice lubili śpiewać – mama należała do chóru – traktowali jednak to jako zainteresowanie, które może dawać radość, ale na pewno nie zapewni utrzymania: „Śpiewaj, oczywiście, ale musisz pomyśleć, z czego będziesz żyć”. Najchętniej widzieliby swoją młodszą córkę na „konkretnych” studiach, może na prawie. A ona zamierzała pogodzić ich plany z własną pasją. W trzeciej klasie liceum ustaliła z rodzicami, że będzie zdawała na filologię polską, ale niezależnie od studiów będzie nadal robić swoje. Kiedy pojawiła się możliwość zagrania w musicalu „Metro”, jeździła na eliminacje do kolejnych miast. Wygrała swoją szansę. Bez wahania przerwała nau



O murkach na Saskiej Kępie Joanna Szczepkowska wie bardzo dużo. Spaceruje z psem są pouczające. Przesiadują na nich ludzie, którzy nie poradzi sobie w życiu i nie wiedzą, co dalej z tym życiem zrobić. Między domem a parkiem aktorka spotyka niektórych po raz pierwszy. O innych może sporo powiedzieć. Na przykład o mężczyźnie przy aptece. Zwykle tam tkwi. Ma twarz zniszczoną życiem kłószarda i podpira się kulami z kijów, które wiosną wypuszczają zielone gałązki. Długo obserwowała go z daleka. Kiedyś poprosił o pieniądze tak piękną polszczyzną, że musiała spytać, kim był, zanim doszedł do takiego stanu. „Profesorem matematyki” – usłyszała. Każdy spacer Joanny Szczepkowskiej jest dłuższy o taką rozmowę. – Trudno jest pomagać ludziom z marginesu, ograniczam się więc do rozmów, w których oni sami, rozmawiając ze mną, odpowiedzą sobie, dlaczego tak się stało, jaką jeszcze mają nadzieję, co mogą zrobić. To działa trochę tak, jak wizyta u psychoterapeuty.

Gdyby nie dostała się do szkoły teatralnej, studiowałaby psychologię. To była alternatywa: zajmować się tak zwaną trudną młodzieżą. Dorastała jako jedynaczka, w jej rodzinie nigdy nie było takiego problemu. Ale w ich dwupokojowym mieszkaniu często jadały obiady, odrabiały lekcje albo po prostu przebywały potrzebujące pomocy dzieci.

– Mama, która nie pracowała zawodowo, działała w komitecie rodzicielskim i wyszukiwała w szkole takie dzieci. Nie zawsze podobało mi się wtedy, że muszę dzielić z nimi swoją przestrzeń i uwagę mamy. Ale to pewnie dlatego później chciałam się im poświęcić – wspomina Joanna Szczepkowska.

Pamięta chłopca ze swojej klasy, który miał w sobie jakiś rodzaj buntu, nerwicy. Był nie

do wytrzymania, ciągle groziło mu wyrzucenie ze szkoły. Nosił przy sobie nóż albo scyzoryk i nie wiadomo było, co zamierza z nim zrobić. Jej matka zaprzyjaźniła się z tym chłopcem, zaczęła z nim rozmawiać.

– Dzisiaj myślę, że wcześniej nikt z nim nigdy nie rozmawiał. On potem bardzo pokochał moją mamę. Na lekcji prac ręcznych, kiedy wszystkie dziewczynki wyszywały, a chłopcy uczyli się obróbki stali, zrobił dla niej nóż i podpisał go. Jedyne, co umiał. Taki dar od serca. Moja mama do dzisiaj jest dla niego kimś, kto w pewnym sensie uratował mu życie. Gdy-



1. Joanna Szczepkowska w wieku trzech lat. Była wtedy bardzo nieśmiała
2. 14-letnia Joanna pisała prozą i wierszem

by nie to spotkanie, być może wylałoby w więzieniu...

Niedawno do zakładu karnego we Włocławku zaprosiła Joannę Szczepkowską grupa więźniów zajmujących się literaturą. Wcześniej aktorka, pisarka i publicystka odwiedziła w Warszawie kobiety odsiadujące najsurowsze wyroki. Nigdy nie pisała o tych spotkaniach. Chce je zachować dla siebie.

– Dzięki mojej mamie wiem, że największą wartością jest umiejętność dostrzeżenia kogoś, kto jest bardzo blisko ciebie i komu można pomóc. Zresztą cały mój tomik wierszy zatytułowany „Ludzie ulicy i inne owoce miłości” jest właśnie na ten temat.

Jako dziecko zawsze pisała wiersz albo kawałek prozy na imieniny dziadka, pisarza Jana Parandowskiego. Sam o to prosił. Powtarzał, że to dla niego najważniejszy prezent. Z uporem twierdził, że wnuczka będzie pisać, i namawiał ją na studia filologiczne. Joanna kłóciła się z nim: „Ja będę aktorką, tak jak tata”. „Będziesz pisać, zobaczysz, bo ja po prostu to w tobie widzę” – odpowiadał.

– Często się zastanawiam, czy gdyby mój dziadek nie był pisarzem, ja zaczęłabym pisać. Myślę, że tak. Na to nie ma siły. Mam typ wyobraźni, który przekłada właściwie każde zdarzenie na fabułę. Poza tym dziadek interesował antyk. Mnie ciągnie w takie mroczne tereny, wewnętrzne, jednostkowe. Natomiast jeśli chodzi o aktorstwo, to sądzę, że gdybym nie urodziła się w takiej rodzinie, gdzie od dzieciństwa widziałam teatr, słuchałam rozmów o nim, nie ośmieliłabym się zdawać do szkoły teatralnej. Byłam bardzo nieśmiałym, wiecznie zaczytanym dzieckiem. Nie było mowy o popisaniu się na rodzinnych uroczystościach. Dopiero na szkolnych przedstawieniach, czyli w warunkach trochę zbliżonych do teatru, trema mnie opuszczała. I tak jest do dziś: jestem inną osobą poza sceną, inną, kiedy gram.